

Był poranek. Rześkie, chłodne powietrze docierało do mych nozdrzy, gdy zmęczony i osłabiony stałem w boksie, nasłuchując otoczenia. Docierało do mnie stłumione rżenie koni, które szczęśliwe witały swoich właścicieli, bądź dostawały śniadanie. W przeciwieństwie do nich stałem sam i wcale nie miałem powodu, by się cieszyć.

Gdy zacząłem się starzeć i słabnąć, ludzie przestali mnie tak bardzo lubić – nie mogli na mnie jeździć i pod pretekstem „emerytury i odpoczynku”, opuścili mnie. Czulem rosnącą w sobie pustkę i żal za tym, co było. Już nie jestem kochany – myśl ta uderzyła mnie, jak gdyby ktoś mnie rzucił kamieniem. Zdążyłem się do tego przyzwyczaić – to fakt, lecz nie było to nic przyjemnego. Stałem tak już od naprawdę „dobrego” czasu, który dłużył mi się w nieskończoność. Nagle nastawiłem uszu, słyszałem kroki zbliżającego się człowieka. Wychyliłem ciekawsko łeb przez drzwiczki, rozglądając się dookoła. Podeszła do mnie dziewczyna, nie byłem pewien czy widziałem ją wcześniej, ale poczułem w sobie iskierkę nadziei.

Pójdź za nią – usłyszałem nieznajomy głos. Podeszedłem ostrożnie bliżej, po czym powoli wyprowadziła mnie na zewnątrz. Prowadziła mnie tak przez chwilę, a następnie otwierając starą skrzypiącą furtkę, wypuściła mnie na rozległe i pełne trawy pastwisko. Gdybym tylko miał taką możliwość; uśmiechnąłbym się i podziękował. Zarząłem więc radośnie i ruszyłem jak z procy galopem przed siebie, zapominając całkiem o tym, że jeszcze przed chwilą przepelniał mnie nieopisany smutek i żal. Galopowałem tak jeszcze chwilę, a wiatr rozwiewał moją kruczoczarną grzywę. Czulem się szczęśliwy, jakby moje problemy zostały mi na tę jedną krótką chwilę zabrane. Niesamowite jest to, jak niewielkie rzeczy potrafią uszczęśliwiać – uświadomiłem sobie podczas tej dzikiej pogoni.

W pewnym momencie zwolniłem, czując nawracający ból w kończynie, który przynajmniej teraz nie był tak dotkliwy jak wcześniej, gdy stałem w towarzystwie czterech ścian. Zdałem sobie sprawę, że pastwisko wcale się nie kończy, a ja mimo szalonej prędkości nie dotarłem do końca. Rozglądałem się dookoła, widząc że ... w ogóle nie byłem zagrodzony! Poczułem w sobie zew wolności, którego w życiu najbardziej pragnąłem.

To właśnie to zielone, niekończące się pastwisko, wiatr i drzewa, które szumem wygrywały melodie, dały mi tę wolność i radość oraz poczucie bezpieczeństwa, którego jak sobie teraz uświadomiłem ... nigdy nie miałem. W tym właśnie momencie poczułem ogromną ulgę w nodze, nie bolała mnie już; ba, nic mnie już nie bolało; czułem się jakby ... jakbym znowu był młody.

Bo jesteś – usłyszałem w głębi siebie znów ten sam głos, tak donośny, że nie mogłem go sobie wymyślić. Jesteś już wolny – usłyszałem. Nie wątpiłem w to. Zostawiając wszystkie dotychczasowe problemy za sobą, pognałem w zawrotnym tempie tam, gdzie mnie kopyta poniosą. Czułem w sobie bezgraniczną wolność, której nigdy nie otrzymałem.

Wolność jest w Tobie – usłyszałem, po czym zamknąłem oczy, biegnąc dalej i dalej, aż szum drzew, powiew wiatru i stukot moich kopyt stworzyły jedną, płynną harmonię. Byłem wdzięczny, że w końcu znalazłem swoje miejsce. To krajobraz mnie uzdrowił, to on mnie wezwał, to on pokazał mi lepsze życie; w końcu to on uwolnił mnie, bym dołączył do niego i poznał smak nieskończonej, czystej wolności jaką mógł mi dać, nie żądając niczego w zamian. Tobie też to może podarować.